

~~L. II.~~ ~~P. 581~~

PRZYPADKI
MACIEJA Z RYCZYWOŁA,
przez niego samego opisane.

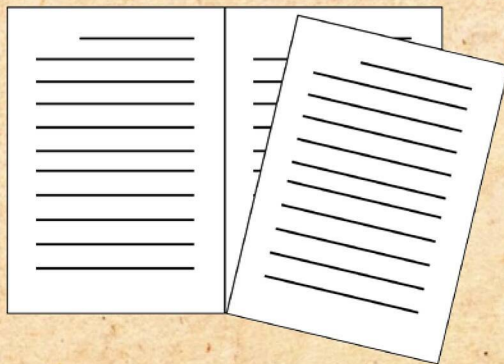
Memoria praeteritorum, futurorum prudentia.
Cicero.

I. 646. g.



Ojciec mój był bardzo surowych obyczajów, bo się wychował w jednym z tych domów, gdzie przez zbytę gorliwość w przestrzeganiu cnoty, powstawano nawet przeciw tym uchybieniom, które się ję bynajmnię nie sprzeciwiają; gdzie błędy lekkości ściągały na siebie karę występkom tylko przynależytą. Przedsiębiorąc opisać przypadki życia mego, nie jest moim zamiarem zastanawiać się, czyli zbytek gorliwości osamę nawet cnotę, może być użytecznym; powiem tylko, że młodzież utrzymywana





W woluminie kolejno współprawne sygnatury:

266271 I /1

266271 I /2

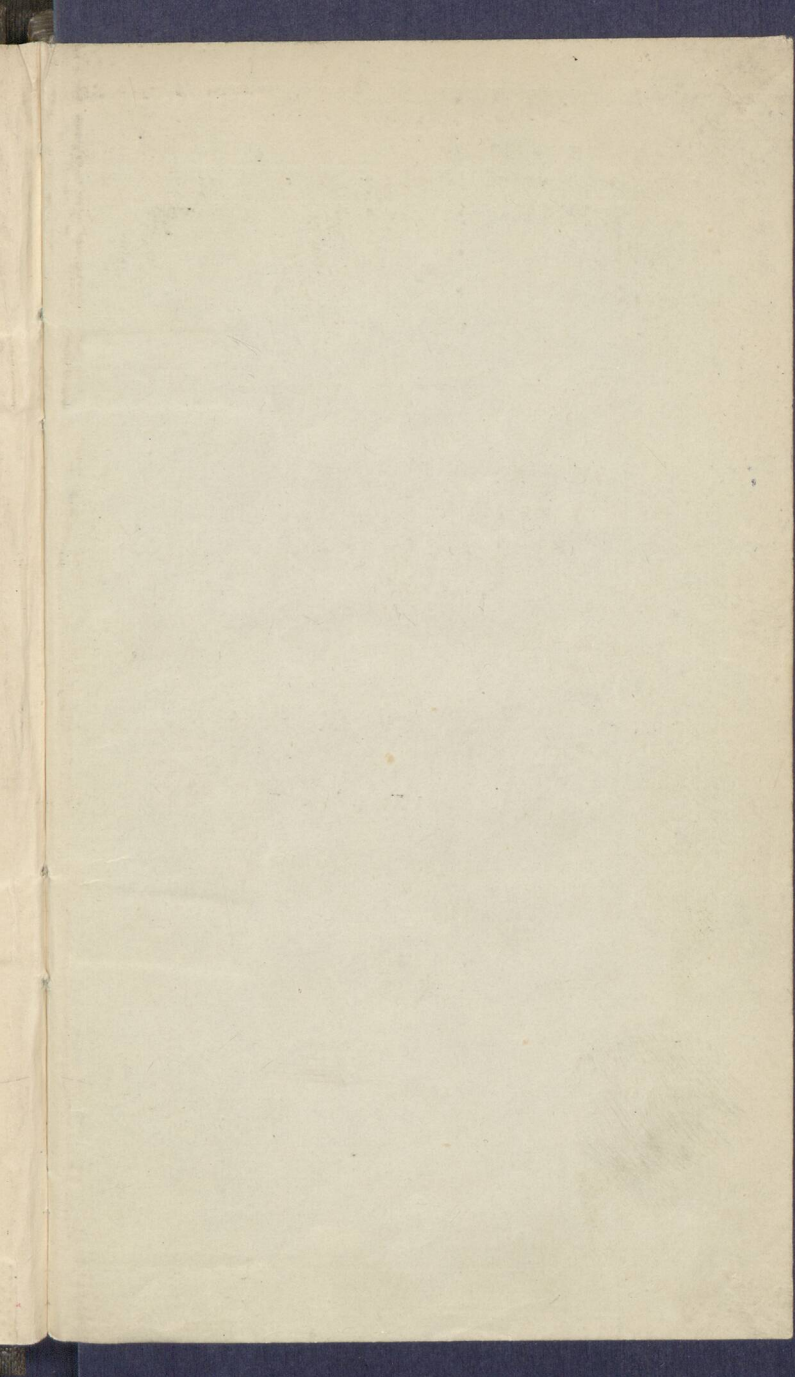
BIBLIOTEKA UNIW. W POZNANIU



266271



Dar Kurator^{ów} Szkol. Szk. Pozn.
Z księgozb. Gimn. im. M. Magd.
w Poznaniu. 1930.



N. K. Z. Z.

~~7637~~

ROZRYWKI LITERACKIE

prozą i wierszem.

TOMIK I.

I 646 g.

W Poznaniu 1824.

W księgarni E. S. Mittler'a.

g.

K

266271.I/5.1

~~VIII 66~~

B.A.



1934.391

~~Lib. D. 2. 581~~

PRZYPADKI
MACIEJA Z RYCZYWOŁA,
przez niego samego opisane.

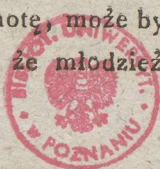
Memoria praeteritorum, futurorum prudentia.

Cicero.

I. 646. g.



Ojciec mój był bardzo surowych obyczajów, bo się wychował w jednym z tych domów, gdzie przez zbytę gorliwość w przestrzeganiu cnoty, powstawano nawet przeciw tym uchybieniom, które się ję bynajmniej nie sprzeciwiają; gdzie błędy lekkości ściągały na siebie karę występkom tylko przynależytą. Przedsiębiorac opisać przypadki życia mego, nie jest moim zamiarem zastanawiać się, czyli zbytek gorliwości o samę nawet cnotę, może być użytecznym; powiem tylko, że młodzież utrzymywana



z największą i źle zrozumianą surowością myśli po niewolniczemu; a nie znając piękności cnoty, nie zawsze ją pełni dla niéy saméy; bojaźń tylko ściągienia na siebie ostrości swych przełożonych, lub opiekunów, tłumi w niéy wszystko, nawet i te skłonności, któreby z wiekiem do prawdziwéy cnoty doprowadzić mogły. Rodzice oycamego, którzy go jeszcze w dzieciństwie odumarli, nie zostawili mu nic prócz paki papierów sznurkami obwiązaney i zakurzoney, która w czasie miała być całém jego dziedzictwem; a szlachcic jeden mieszkający w sąsiedztwie, który był jego oycem chrześnym, szczęściem znaydując się przy śmierci mojęy babki, wziął go do siebie na wychowanie. Skoro tylko umiał mówić, uczono go czytać, pisać i cokolwiek rachować. Nie oddano go do szkół, bo jak opiekun jego mawiał, wyższe nauki służyły tylko wyższym stanom; że to niezmiernych wymagało kosztów i że dla mego oycy, który żadnego nie miał majątku, dość było umieć czytać po polsku, dla zrozumienia książek na-

bożnych i żywota Świętych, co też i w dalszém życiu oycy mojemu było, całodzienném jego zatrudnieniem. Wiedział dobrze mój oyciec, iż nie miał rodziców, i że go jako sierotę z miłości chrześcijańskiéy wychowano: przeto taką powziął ku dobrodziejowi swemu wdzięczność, że nie raz w życiu powtarzał, iż w całym świecie nie masz drugiego pana, któryby z taką pewnością mógł się nieba spodziewać. Z resztą jakie były szczegóły wychowania mego oycy, nie mogę wiedzieć, bo mi sam o tém nigdy nie mówił, a pytać się o co oycy swego, byłoby podług nauk mi dawanych występkiem przeciwko u szanowaniu; wszystko zatém, co o jego młodości wiedzieć mogę, słyszałem przypadkowo częścią z ust mojęy matki, częścią z ust osób zupełnie obcych.

Oyciec moy przejął wszystkie cnoty opiekuna swego, lecz też równie i od dziwactw jego nie był wolny; (wyznanie to niech mi czytelnik przebaczy, bo wierny dziejopis niczego zamilczać nie powinien); a jak się to często zdarza, że uczeń przechodzi

swego mistrza, tak i tu mój oyciec byłby go przeszedł w surowości, gdyby wrodzona bojaźń i nieśmiałość, nie łagodziła w nim téy, że tak rzekę, nietolerancyi, którą był uniesiony przeciwko wszystkim innym ludziom, którzy nie tak jak on myśleli; a nie mogąc zmienić ich zdań, ani użyć swéy powagi na ich ukaranie, wzdychał tylko i modlił się.

Gdy miał już lat 20, opiekun jego przekonany o wierności i rzetelności oycy mojego, polecił go pewnemu prałatowi, który go raczył natychmiast mianować swoim poufałym Fac-totum. Odprawiając go od siebie opiekun, rzekł mu: chłopcze! nauczyłem cię być dobrym i poczciwym, kochay twego pana i bądź mu wiernym i wdzięcznym za jego dobrodzieystwa, a będzie ci dobrze. Oto masz; tu włożył mu w rękę trzy tymfy — a pamiętay abyś tego nie użył na rozpustę. Potém wyjął z szafy okurzoną pakę papierów i oddał mu ją mówiąc. Tomasz! to ci zostawił twój oyciec, może ci się to przyda, ale pamiętay

chłopcze, aby cię to nie uczyniło wyniosłym i grzesznikiem, pamiętaj że pokora i wdzięczność dla twoich dobrodziejów jest twoim najpierwszym obowiązkiem. Oyciec mój zastraszony tą mową, chciał się już wyrzec na zawsze swego zakurzonego skarbu; ale ciekawość, coby się tam znaydowało, przemogła że go zatrzymał; rzucił się do nóg swego dobrodziejca, a oblewając je łzami pokory, wyrzekł ostatnie pożegnanie; potem pokłoniwszy się do nóg swemu nowemu panu, siadł na kozioł przed jego powozem i tak zajechał do Lublina, gdzie pan jego był officyałem. Po dwuletnich wiernych usługach officyał zabierając się do wieczności, polecił go tamecznemu biskupowi, który go mianował swoim faworytem i dworu marszałkiem. Natenczas oyciec mój zaprzyjaźnił się z całą kapitułą, a nie znając innego stanu nad ten, z którym zawsze obcował, tak w nim zasmakował, że nie czując się być zdolnym do posiadania umiejętności temu stanowi potrzebnych, postanowił przynajmniej całe życie zostać bezżennym i tak

służyć panu Bogu; a na pierwszy dowód swego upokorzenia się, przeczytawszy z kapelanem biskupim pakę swoich papierów i znajdując w nich dowody, że pochodzi z staréy krwi szlacheckiéy, dla uchronienia się pokusy dyabelskiéy, wrzucił ją w ogień. W krótcie jednak za poradą księdza kapelana i samego nawet biskupa, zapominając o pierwszém postanowieniu, przyrzekł dogonną wierność małżeńską pewnéy panience w Ryczywole, wymagając jednak od niéy, aby się na lat przynajmniéy 6 zaraz po ślubie rozłączyli. Już moja przyszła matka, miała na to zezwolić; ale wymowa pasterska samego księdza biskupa dowiodła, że im ślub nie na to był dany. Oyciec mój słysząc tak słodką wymowę pasterza, poddał się, uznając w tém prawdziwe powołanie. Matka też moja nie sprzeciwiała się temu, i w krótcie ich złączono. W kilkanaście dni po weselu trzeba się było jednak rozłączyć, bo matka moja musiała mieszkać przy rodzinie w Ryczywole, gdy ksiądz biskup i mój oyciec objeżdżali dycezyą. Gdy się czas

urodzenia mego zbliżał, oyciec mój uprosił
swojego pana, aby mu na kilka dni pozwo-
lił jechać do Ryczywoła. Przybył w samę
porę; lecz skorom tylko uyrzał światło dnia,
stałem się natychmiast przyczyną zgryzoty
mego oycy; bo w kilka godzin potém słysząc
mnie wrzeszczącego, wnosił, iż skłonności
moje nie miały być skromne i że trudno
będzie dotrzymać ślubu, który uczynił, iż
pierwszy syn jego musi być księdzem. Nie
przewidział mój oyciec, iż ja wcale do cze-
go innego byłem stworzony. Nie mógł
się uspokoić, lubo go przekonywano, iż
wrzask mój był raczém skutkiem jakowéys
boleści, nie oznaką przyszłéj rozpusty.
Nie mogąc długo bawić z nami, odjechał
zasmucony, polecając nas, a osobliwie mnie,
panu Bogu, i czasem nas tylko odwiedzał.
Kiedym miał pół roku, jak mi to późniéj
matka powiadała, odwiedził ją rodzony brat
Rafał, który był proboszczem mającym 20 ty-
sięcy czystego dochodu i prosił jéy o pozwole-
nie, aby, gdy wyrosnę, mógł się mną opieko-
wać i na moje łożyc wychowanie; co po-



twierdził nayuroczystszeń przyrzeczeniem. Kończyłem już cztery lata, kiedy mój oyciec przysłał po nas z Lublina konie, zalecając, abyśmy się na pół roku wybrali, bo tak długo mogliśmy tam zabawić. Gdyśmy przyjechali, oyciec mój przywitawszy moją matkę, obrócił się do mnie z temi słowy: a ty chłopcze umiesz już co? potém zaczął mię uczyć oracyi, którą mu na ten koniec X. kapelan napisał, a którą miał m powiedzieć księdzu biskupowi na przywitanie. Byłem pojętny i w krótko nauczyłem się dość dobrze wierszy, które aż do dziś dnia pamiętam; lecz niechcąc nudzić mego czytelnika takimi drobnostkami, omijam je; dość będzie kiedy powiem, że się niezmiernie podobał pasterzowi; pogłaskał mię, dając mi pół złotego na buikę papieru i mówiąc do mego oycy: z czasem to będzie z tego piękny ksiądz.

Przez ciąg bawienia naszego w Lublinie, oyciec mój uczył mię sam czytać, co dość łatwo poymowałem. Gdy się to działo ksiądz biskup zachorował i wkrótce umarł, zostawując dziedzicem swojego synowca; i

lubo w testamencie zastrzegł to wyraźnie, żeby wynagradzając wierne usługi Tomaszowi ojca mego, miało nim staranie i los jego zapewnić, jednakże ten nowy dziedzic nie dał nic memu oycu, zlecił tylko jednemu ze swoich krewnych w jego wsi mieszkającemu, aby moich rodziców przy sobie umieścić tymczasem, nim powróci z zagranicy, dokąd na dziesięć lat wyjeżdżał. Potém jak mówił — pomyśli o ich losie, a teraz musieli poprzestać na szczupłej pensyi, jaką im zostawił. Mój oyciec z natury bojaźliwy i łatwowierny, przystał na to, pomimo płaczu i narzekań mejj matki, i pojechalismy do wsi nam przeznaczonéj. Stan nasz terazniejszy był dość biedny, bo oyciec mój nie myśląc nigdy o światowéj przyszłości, nic nie uzbierał; wypadło zatem bardzo skromne prowadzić życie.

Pan Prostochwał podczaszy, do któregośmy przyjechali, przyjął nas mile, oświadczając, iż jak długo tylko zabawić u niego zechcemy, na niczém nam schodzić nie będzie, bo go o to Pan Marcin jego powin-

waty, szambelan J. K. Mci upraszał. Co do mnie, naywięcéy mi się podobała sama pani podczaszyna, bo mię sobie mocno polubiła i często dodawała mi przysmaczków, za co ją nazywałem nieoszacowaną moją dobrodzieyką. Czasem nawet, gdy mię matka moja obić chciała, znalazłem nayspewniejszą obronę podłóżkiem pani podczaszynéy; nie zawsze mi to jednak wychodziło na dobre, bo od oycza mego odbierałem za tę ucieczkę, plagę z prowizyą i oświadczeniem, że ze mnie nic pocziwego nie będzie, i lubo wówczas nie wiele miałem wyobrażenia o pocziwości, jednakowoż takie oświadczenia martwiły mię niezmiernie. Sam pan podczasy nie wdawał się tyle w moje interessa i tylko czasem głaszcząc mię, nazywał łebskim chłopakiem. Pamiętam raz, kiedy z moim oycem mówiąc o mnie, powiedział te słowa: Panie Tomaszu, nie bądźże dziwakiem, a uyrzysz co to będzie za chłopiec, tylko nie trzeba się z nim tak surowo obchodzić, bo w nim wszelką pojętność przytłumicie. — Ale dla boga! rzekł mój oyciec, jakże młodego

nie bić, a to będzie wierutne nic dobrego. — Robcież sobie co chcecie, rzekł pan podczaszy, ale pamiętajcie że to nie tym sposobem wychowują dzieci. — Nie wiem co mi za myśl przysła do głowy, żem się pokazał, możebym był więcéy usłyszał; ale oyciec mój obrażony moją obecnością, schwytał mię za rękę i obiwszy porządnie, kazał jeszcze klęczeć trzy godziny na grochu, za moję, jak mówił niepocziwość; bo, dodał, dzieci nie powinny słuchać co starsi mówią. Pan podczaszy potrząsł głową i odszedł, a ja byłbym musiał zapewne pokaleczyć kolana, gdyby mię była pani podczaszyna nie uratowała. Takie były początki mego wychowania. Naypierwszą moją było cnotą milczenie w obecności oycy, bo mi nie dał nigdy mówić, tylko kiedy byłem pytany; ale za to w niebytności jego, nagradzałem sobie tę moję mękę, wdając się w rozmowy które wcale do mnie nie należały. Dochodziłem już lat siedmiu, trzeba było myśleć o moich dalszych naukach, umiałem dopiero czytać po polsku i po łacinie; przytém kilka

słów niemieckich na pamięć, których mię stary lokaj pana [podczaszego nauczył. Oyciec mój nie był w stanie oddania mię do szkół odległych, a w bliskości nie było żadnych. Teraz była pora zgłoszenia się do księdza Rafała mego wuja z przypomnieniem przyrzeczeń. Matka moja pisała do niego kilka listów, ale się zawsze uskarżał na ciężkie czasy; nakoniec dał to wyraźnie poznać, że mi teraz nic dać nie może, jednak po skończeniu szkół dopomoże mi do obrania sobie stanu; a jeżelibym chciał zostać księdzem, opatrzy mię swoją starą garderobą. Po odebraniu takiego listu, matka moja płakała, oyciec wzdychał, a ja byłem księdzu wujowi niezmiernie wdzięczny, bo mi się nie chciało jechać do szkół. Lękam się aby czytelnik nie posądzał wuja mego o niechęć do trzymania obietnic; co do mnie przekonałem się w czasie, że jego wymówka była w ówczas słuszna, bo jakem się późniéy dowiedział, matka moja właśnie w ten czas pisała do niego, kiedy miał nieuchronne wydatki, wyliczając razem 45 tysięcy na posag

dla iakiéś panienki w sąsiedztwie, który matce wiele był obowiązany. Tym czasem mój oyciec utyskiwał zawsze, powtarzając że z Maciusia nie będzie żadnéj pociechy. Następująca okoliczność uwolniła go od téj troskliwości, ale na czas bardzo krótki. Pan Srogomysł chorąży sąsiad pana podczaszego, odwiedzając go często, widywał się z memi rodzicami. Był to szlachcic wzrostu dobrego i możeby fizyonomia jego była cokolwiek przyjemniejszą, gdyby mi go jego postawa gróżna i wzrok przerażający nie tak strasznym czyniły, osobliwie od czasu kiedy mię nie wiem za jakąś nieobyczajność złażał. Oyciec mój kazał mi go przeprosić upadnięciem do nóg, lecz on tego niedopuscił, mówiąc, iż tak niegodny chłopiec nie jest wart dotykać się nóg jego; odtąd postanowiłem nie pokazać mu się więcej i ile razy przyjechał, natychmiast się kryłem.

Jednego czasu oyciec mój wzięwszy mię za rękę, rzekł: Pójdź ze mną chłopcze, zaprowadzę cię do naszego dobrodzieja, szedłem więc nie wiedząc dokąd i nie przewi

dując co mię czekało. Idąc upominał mię mój oyciec, abym tego dobrego pana, do którego mię zaprowadzi, pięknie przywitał i upadł mu do nóg. Uszliśmy małe ćwierć mili i znaleźliśmy się we wsi, na której widok nie wiem jakieś przeczucie przejęło mię strachem i taka mię napadła lęklivość, iż mię oyciec ledwie żywego wprowadził do dworu, gdzieśmy przed naszym dobrodziejem stanęli. Łatwo sobie czytelnik wystawi jakie musiało być moje wzruszenie, gdy się dowie, iż tym naszym dobrodziejem, był (nie kto inny; ale) ów straszliwy pan chorąży, który mię niegodnym nazwał chłopcem. Oyciec mój kazał mi ucałować nogi jego, co natychmiast uczyniłem i chętniebym aż do nocy leżał na ziemi, aby się oczy moje nie zbiegły z jego zabijającym wzrokiem; ale kazono mi się podnieść i szlachcic zapytał mego oycę, czyli umiem już po łacinie. Umie czytać, mówił mój oyciec, ale ładaco nie chce się uczyć. — Alboż to nie ma bata, rzecze okrutny szlachcic? Za parę dni będę u was i wezmę go z sobą; u mnie się prze-

cie czego prędzéy nauczysz. Na to mój oyciec odpowiedział bardzo niskim ukłonem i rozkazem ucałowania na nowo stóp jego. Apostata przekonany o swoje zbrodnie kiedy go stawia przed świętą inkwizycją, poglądając na zapalający się stos, na którym ma umierać, nie tak drży z boiaźni, jak ja zdrżałem na wyrok, że mam być oddany w opiekę temu straszemu człowiekowi. Szcześnie dla mnie, że mój oyciec nie długo tu bawił, bo bym był może nie przeżył dnia tego. Powróciwszy do domu, najpierwszą moją było starannością wypowiadać się mojej matce, do której miałem dość śmiałości, zapewniałem ją, że umrę nieochybnie, jeżeli mię oddadzą temu tyranowi. Matka moja wiedząc dobrze, że przeciwienie się zamiarom mego oycy było niepodobne, cieszyła mię ze wszystkich sił, opowiadając mi, że pan chorąży jest ten sam co wychował mego oycy, który przecież nie umarł, ztąd wniosła, że i ja nie umrę; przytém uwiadomiła mię o części historyi mego oycy, którą czytelnikowi już wyżéy dałem

poznać. Nie mogłem pojąć, jak można brać na opiekę dzieci, aby je równie jak mnie swoim wzrokiem zabijać. Uspokoiwszy się nieco, zacząłem przemyśliwać nad sposobami uniknięcia niewoli; radziłem się mojej matki, czyliby schronienie pod łóżkiem pani podczaszynéy nie mogło mię zasłonić od niebezpieczeństwa; już miałem jéy prosić o uskutecznienie tego zamiaru, gdy mię ostrzegła, iż wywleczenie mię z tamtąd, ściągnęło by mi nieochybną chłostę i usposobiłoby surowego pana do tym ostrzejszego ze mną postępowania. Trzeba więc było poddać się przeznaczeniu, i z trwogą oczekiwać chwili, która w moim rozumieniu miała mię życia pozbawić. Nigdy zakonnik nayostrzejszéy reguły nie przestrzega tak ściśle czystości swych myśli, i nigdy z taką gorącością nie podnosi ducha do nieba, ile ja w ówczas modliłem się, aby godziny w lata mogły być zamienione; chciałbym, aby mój stary szlachcic zapomniał o mnie, albo żeby mię zupełnie znienawidził i na oczy mię swoje nie przypuścił.

Usychałem przez trzy dni z nabożeństwa, które jednak nie zostało wysłuchane; bo szlachcic w oznaczonym czasie zjawił się w zupełném zdrowiu i wziął mię z sobą.

Nie będę opisywał zgryzot, jakich doświadczałem. Nie mogłem płakać, bo iedno spoyrzenie [mego nowego opiekuna, krew we mnie mroziło; pożegnałem moich rodziców nie mówiąc ani słowa i wsadzono mię do powozu. Przez całą drogę milczałem i w milczeniu zajechaliśmy aż do domu opiekuna. Dano mi wieszczkę, którą przez gwałt jadłem, bojąc się aby mię nie obito za nieposłuszeństwo, gdybym był śmiał odmówić. Kazano mi iść spać, sądziłem, że ta noc będzie ostatnia życia mego; lecz płaczem i szlochaniem utrudzony, zasnąłem i to mię umocniło do znoszenia dalszych przykrości. Drugiego dnia mój opiekun posadził mię nad książką, z której miałem się uczyć deklinacyi łacińskiej; przesiedziałem tak dzień cały i zdziwiłem się nie mało, widząc, że w ciągu dnia tego, żadnój nie doznał mego opiekuna ostrości. Tym spo-

sobem kończył się już dzień trzeci, a ja żadnego jeszcze nie wymówiłem słowa, i byłbym zupełnie mówić zapomniał, gdybym był dłużej jak tydzień został pod opieką mego dobrodzieja. Nikt mię nie zaczepiał, ja też sam mówić nie śmiałem. — Trzeciego dnia we wieczor kazał mi mój stary szlachcic przeysść się do drugiego pokoju, gdzie zastałem przy świetle kominkowém jéymosć z dwiema kobietami służącemi przy kądzieli; a sądząc, iż w tém mieszkaniu wszyscy są osądzeni na wieczne milczenie, zadziwiłem się, gdym usłyszał jedną z tych kobiet opowiadającą swojéj pani jakąś baykę o czarach podlaskich. Ośmielony, odważyłem się nadto podobno wesołym tonem, co z niepojętęj radości pochodzić mogło, gdy w tém dał się słyszeć z drugiego pokoju głos mego dobrodzieja: chłopcze, cóżto tam za śmiechy! Przerażony jak piorunem umilkłem w postanowie niu milczeć na wieki.

Milczałem znowu dwa dni ciągle: jednego razu widząc opiekuna mego w czasie o-

biadu więcéy niż zwykle rozmawiającego z żoną, ośmieliłem się powziąć nadzieję, że i ze mną nie zawsze będzie milczał. Przypomniałem sobie w ówczas, że mi matka moja przed pożegnaniem ptzyrzekła, iż następującego tygodnia będę ją mógł widzieć, bo mój okrutny szlachcic obiecał odwiedzić pana podczaszego i mnie z sobą przywieźć. Chciałem się cieszyć nadzieją i byłbym szczęśliwy, gdyby mi ją był uczynił mój surowy dobrodziej. Nie mogąc znieść niepewności, przy obiedzie odezwałem się tonem zapytującym: po niedzieli pojedziemy do moich rodziców? Ofuknął mię, rzucając na mnie wzrok zabijający: milcz, a zobaczysz jak doczekamy. W téj chwili postanowiłem raczéy zapomnieć mowy, a niżeli się wystawiać na tym podobne przykrości. Po skończonym obiedzie widziałem mego srogiego opiekuna w lepszym humorze; to ośmieliło mię, żem częścicéy na niego poglądał; ale ku wieczorowi uyrzałem twarz jego zapaloną, klęknął i modlił się blisko pół godziny, potem nagle

wyszedł; nie wiedziałem co to miało znaczyć. Zacząłem jednak wolniéj, oddychać, bo mię przytomność jęgo nie dręczyła. Ale w krótce usłyszałem jęczenie jakieś przeplatane jakby biciem batoga; dreszcz mię przeszedł, bo miałem serce bardzo czułe, trząsłem się jak liść osikowy i mimo największój chęci wyrzżenia za okno, dla obaczenia co się tam dzieje, nie śmiałem uczynić tego. W tém wyszła jęymość ze swego pokoju i wyrzała za okno, a obracając się do mnie, rzecze: widzisz jakto biją kiedy kto ładaco, nie mogłam uprosić nic u mego męża, weźmie całe 100 batogów; ale bo też niecnota zawinił. Cóż on zrobił? zapytałem się nieśmiałym głosem. Co zrobił! odpowie jęymość, mój kochaneczku, oto ten niegodziwy: panie odpuść (dodała uderzając się po ustach) o mało com dziecięcia nie zgorszyła. Niech cię Bóg zachowa, abyś miał słyszeć o takim bezprawiu. Mój Maciusiu, nie pytay się o to więcéj nikogo, boby ci się co złego przytrafić mogło, Z tém odeszła, a ja nie więcéj jak pierwéj wie-

działem o całej rzeczy. Bicie trwało jeszcze ciągle, a moja febra mię nie opuszczała. Nakoniec uciszyło się i mój opiekun powrócił, a rzucając na mnie swój wzrok okrutny, odezwał się: czy słyszałeś chłopcze? jak będziesz ladaco to i tobie tak będzie. Nie wiem co mię utrzymało żem nie zem-dlał ze strachu, zwłaszcza gdym uyrzał wchodzącego jakiegoś człowieka, myśląc, że to jest jeden z oprawców, który przychodzi, aby ze mną toż samo, co z tamtym nieszczęśliwym, uczynił. I dopiero duch we mnie wstąpił, gdym usłyszał pana chorążego: o to masz złotówkę mój Grzelu, a jeżelibyś co podobnego dostrzegł, dawaj mi natychmiast znać, bo inaczej będziesz współnikiem niegodziwości. Grzel uklonił się i wyszedł. W tém zaszedł powóz i mój okrutnik (takem go nazywał) wyjechał z domu, a febra mię opuściła. Dopiero zacząłem przemyślać nad tém, com widział i słyszał, ale nie mogłem zgadnąć coby był za występki tego nieszczęśliwego, którego dopiero katowano, i cobyto było takiego co

sobie mój dobrodziej natychmiast pod sumieniem donosić kazał.

Byłbym podobno nigdy nie dociekl, gdyby mię był następujący przypadek nie objaśnił. Po odjeździe chorążego widząc się być cokolwiek wolnieyszym, chciałem użyć świeżego powietrza, do czego mię zachęciła jéymosć mówiąc: idź Maciusiu, pobiegay sobie po dworze; wyleciałem prawie, a przebiegając wielkim pędem po różnych miejscach zaszedłem aż do gumna, gdzie uyrzałem kobietę wieyską wydzierającą się z rąk iakiegoś mężczyzny. Pamiętay Błażku mówiła, żebyś tego całusa nie pożałował; wiesz, że tamten nieborak wziął za to sto batogów; w tém spostrzegli mię, i piorunem każde pobiegło w swoją stronę. Teraz domyslałem się, że ów biedny za pocałowanie wziął tyle batogów, i nie mogłem pojąć, jak ludzie mogą być tyle okrutni, aby za jedno pocałowanie, w którém nic złego nie widziałem, mogli tak srodze karać. Od téy chwili zacząłem nienawidzić mego opiekuna; a przypominając sobie, że

móy oyciec czytał jakąś historyą, z któręj się pokazało, że dwoje ludzi za samo całowanie poszło do piekła, nie mogłem tym bardziej pojąć, czemu dobrodziej móy, nie przestając na tém, że ów biedak będzie w piekle, kazał mu jeszcze na drogę wyliczyć 100 batogów. Powróciłem smutny, gniewając się na piekło, na batogi i na mego dobrodzieja. W krótkce też i on przyjechał. Noc następująca była dla mnie okropną, nie mogłem spać, zdawało mi się, żem zawsze słyszał batogi i jęki nieszczęśliwego, a jeżlim zasnął, śniło mi się, że słyszę mego okrutnika: i tobie tak będzie! i znowum się zrywał. — W téj trwodze przeszło jeszcze dni dwa, milczałem zawsze i myślałem, że już mówić nie potrafię; bo oprócz tych słów, o których wyżey czytelnika uwiadomiłem, mentor móy tylko dwa razy zapytywał mnie o deklinacyę, a odpowiedź moja, była wszystkiém mojem mówieniem.

Nadszedł nakoniec dzień, który moje męki zakończyć miał; ja o tém nie wiedziałem. Choraży jadąc na obiad do pana pod-

czasego, mnie' wziął z sobą. Wysiadłszy z powozu, pobiegłem natychmiast do mojej matki, która mię nie poznała, takem znedźniał ze zgryzoty, a na zapytanie: czym nie chorował, odpowiedziałem jéy zapewniając: iż nietylko ciągle byłem chory, ale, że przeszłéy nocy miałem już umrzeć, i że umrę nieochybnie, jeżeli mi z moim opiekunem jeszcze jechać dozwoli. Matka moja wzruszona nędzą moją i łzami, poszła na radę do pani podczaszynéy; skutek był dla mnie bardzo pomyślny, jak się to niżej pokaże. Nim matka moja powróciła, oyciec mój pytał się, czegobym się przez ten czas nauczył; odpowiedziałem, żem się nie nauczył niczego. Kłamiesz chłopcze, rzekł mi i odszedł.

Matka moja powróciła, i gdy dano do stołu, zostałem wpuszczony oknem do pokoju pani podczaszynéy i ukryto mię różnemi brudami pod jéy łóżkiem, a tak byłem bezpieczny, bo opiekun mój nie widząc mię wchodzącego, nie mógł mieć żadnego porozumienia gdyż do owego pokoju nie było innego wniyscia. — Musiałem w mo-

jęmu schronieniu pozostać tak długo, ażby
 mój opiekun nie znalazłszy mię, odjechał.
 Ledwie się nie udusił; ale śmierć nie była
 dla mnie tak okrutną, jak widok szlachcica,
 którego moim tyranem nazywałem. Wsta-
 no od stołu, a w krótkce mój dobrodziej
 miał się do drogi; pot śmiertelny wystąpił
 na czoło moje, gdym to usłyszał. Uważa-
 łem potém jak mię wszędzie szukano, tyl-
 ko nie tam gdzie się znajdował. Matka
 moja zapewniała, iż nie wie gdzie się po-
 dział, dodając, że mię sama odwiezie.
 Ale chorąży domysłając się, że to były wy-
 biegi, zaczął się gniewać mówiąc: widzę,
 żeście wpaństwo z mojej łaski nie kontenci,
 teraz choćbyście mi go sami przywieźli, nie
 chcę go więcéy widzieć; czegoście chcieli
 to macie. — Jak więzien, który się dowia-
 duje o swoim uwolnieniu, tak ja przejęty
 zostałem radością słysząc takowy wyrok; i
 teraz jeszcze zastanawiając się nad tém, le-
 dwie pojąć mogę, dla czego mię łaska me-
 go opiekuna przerażała, a gniew jego spra-
 wiał mi radość. Na próżno mój oyciec

prsebłagać go usiłował, na próżno matka moja zaręczała, że mię odwiezie, na próżno pani podczaszyna chciała to ułagodzić; okrutnik w swoim przedsięwzięciu niewzruszony, powtarzał tylko: już go widzieć nie chcę i z tém odjechał. Pan podczaszy tylko trząsał głową i mówił: otoż macie, zrazili biednego chłopca i chcą, żeby się nie chował. Tu dopiero zaczął się nowy kłopot; oyciec mój czynił największe wyrzuty mojej matce, mówiąc: że za ję przyczyną Maciuś usposobi się na łotra; ale pani podczaszyna wzięła ten interes na siebie, upewniając, iż tylko ona wie gdzie się znajdował i że mię nie wyda, dopóki mój oyciec nie dał słowa, że mi za to nic nie będzie; mój oyciec przyrzekał, że mię tylko różgami, otnie, co byłoby pewnie nastąpiło, gdyby się był nie wdał w to pan podczaszy zaręczając, iż się pogniewa na mego oycę na zawsze, gdyby mię za to obił. Oyciec mój, któremu łaska pana podczaszego była koniecznie potrzebna, rad nie rad musiał przyrzec, że mi da pokój;

natenczas pani podczaszyna wywlekła mię z pod łóżka zimnym zlanego potem. Przepraszałem mego oycę, który mi wprowadzie dla dotrzymania słowa darował, dodając jednak, iż mi tego nigdy nie zapomni. Odetchnąłem przecież; ale w krótcie dały mi się uczuć skutki moich całotygodniowych zgryzot; tegoż zaraz wieczora dostałem gorączki, i dwie niedzieli nie mogłem wstać z łóżka.

Jeszcze nie wyzdrowiał zupełnie, gdy mój oyciec ułożył nowy plan edukacyi mojęy.

Proboszcz naszey parafii był oycę mojego przyjacielem; tego więc uprosił, aby jako pleban, a zatém uczony, wziął mię do siebie na nauki, na co ten przystał chętnie i w krótcie oddano mię do niego. Tu miałem życie daleko swobodnieysze. Zaczny ten pleban nie był surowych ale owszem łagodnych obyczajów, często ze mną rozmawiał, nie zawsze mię trzymał nad książką i często mi sam rozkazywał, abym sobie poszedł pobiegać. Gdybym nie tęsknił do matki, którą okrutnie kochałem, byłbym tu sobie bynajmniéy nie przykrzył, mając

dość wolności do wieku mojego stosownej; jeździłem z moim plebanem po odpustach, a nigdy nie dał mi uczuć swego przełożenia; do milczenia też nie zawsze byłem obowiązany. Kiedy pleban odjeżdżał na kilka godzin nie biorąc mnie z sobą, miałem wolność bawienia się u jego czeladzi, lubilem słuchać ich bajek, a jeżeli się trafiło, że powrócił późno w noc, wtenczas z czeladzią nocowałem; miał bowiem zwyczaj stancją swoją odjeżdżając zamykać, a przyjechawszy do domu, przebudzać mnie nie kazał. Jużem się był z tym rodzajem życia oswoił, gdy pewny przypadek skłonił oycę mego do zakończenia terazniejszej szkoły mojej. Jednego dnia przybył mój oyciec, aby mię na dni dwa świąteczne wziął do domu, a ponieważ mieszkanie nasze było nie daléj jak o małe pół mili, odprawialiśmy podróż pieszo. Idąc zadawał mi oyciec mój różne zapytania, na które skromnie i krótko odpowiadałem, pamiętając o téj nauce, iż tylko to mówić należało, o co mię pytano. Gdy jednak w ciągu podróży oy-

ciec mój chciał słyſzeć odemnie, jaki porządek życia zachowujemy; ośmielony tém jego zapytaniem, chcąc oraz nagrodzić sobie za wszystkie czasy, w których mi z nim nie wolno było rozmawiać, opowiadałem wszystko jak naydokładniéy, nie opuszczając naymnieyszéy okoliczności; uważałem, iż mu się nie wiele podobało, gdym powiedział, że znaczny czas z czeladzią przepędzam. Kończąc daléy wierne moje opowiadanie, nie zamilczałem i tego, że ksiądz wikary nie zastawszy raz plebana, przyszedł do izby czeladniéy, gdzie przywitawszy przytomnych, córeczkę gospodyni pogłaskał i pocałował. To opowiedziawszy, dałem oycu mojemu poznać moje wielkie zadziwienie, że ów stary szlachcic za jedno pocałowanie kazał dać biednemu parobkowi sto batów, bo, mówiłem, gdyby to było grzechem, toby tego ksiądz wikary nie był uczynił. Na te słowa mój oyciec zawołał: przestań już paplać chłopcze, przestań, ja się ciebie o to nie pytałem, a ty gdybyś był co pocziwego, toś na to nie

powinien patrzeć. — Tak skończyło się moje opowiadanie i powróciliśmy w milczeniu do domu. Ledwie oyciec mój pozwolił mi przywitać matkę moję, gdy się odezwał w te słowa: co za nieszczęście z tym chłopcem! ladaco jakieś, uciekł od pana chorążego; a tu go więcéy oddać nie mogę. Zostałem przeto w domu i odtąd więcéy jak dwa lata prowadziłem życie zwyczajne, jadałem przysmaczki od pani podczaszynéy i często pod jéy łóżkiem bywałem.

Miałem lat 10, gdy oyciec mój odebrał zlecenie, aby jechał na objęcie rządu w dobrach swego pana o trzy mile ode Lwowa leżących; natenczas [o moję, edukacyi nie można było wątpić, i stanąwszy na mieyscu, zostałem natychmiast odwieziony do Lwowa i zotawiony w szkołach pod dozorem bardzo uczciwego człowieka, którego później czytelnikowi dam poznać. Pierwszego dnia, stanąwszy przed przełożonym szkoł, miałem zaraz kłopot, nie umiejąc powiedzieć mego przezwiska; odpowiedziałem tylko, że mój oyciec pan Tomasz, inaczéy się

nie nazywał; ja zaś, na imie Maciey, żem się urodził w Ryczywole: zapisano mnie więc, Maciey z Ryczywoła. Po dwuniedzielnym płaczach z tęsknoty do domu, uspokoiłem się, i takem się przywiązał do nauk, za pomocą i staraniem mego domowego nauczyciela, iż wcale tęsknić przestałem, rzadko tylko widując moich rodziców kiedy mię odwiedzali. W przeciągu lat 5 umiałem już kilka języków i znaczne początki filozofii, ale nie miałem najmniejszego wyobrażenia o sposobie obcowania z ludźmi, całe bowiem towarzystwo moje składało się, albo z współuczniów, albo z nauczycielów. Z niewiastami, oprócz mojej gospodyni, nie rozmawiałem, a widując je tylko albo w kościele, albo w teatrze, dokąd mię bierał mój nauczyciel, nie miałem się bynajmniej z niemi obchodzić. Dochodziłem lat 17 i wielkie o mnie utrzymywano nadzieje, mówiono bowiem, iż zawsze w naukach byłem pierwszym. Nauczyciel mój domowy, którego panem Franciszkiem nazywać będę, było jeden z tych ludzi,

którzy własném doświadczeniem nauczani, umieją naylepiéy ocenić serce ludzkie; wolny od wszystkich przesądów, uczył mię poznawać świat i zważać ludzi w ich właściwej postaci; nie poznałem ich jednakże dobrze, dopóki sam nie doświadczyłem ich zdrady, chytrości, sztuk i podeyscia. Pan Franciszek nie powtarzając tego, że był moim nauczycielem, był nim istotnie, różny od owego strasznego chorążego, uczył mię wszystkiego z łagodnością, a dla tym pewniejszego dopięcia swoich zamiarów, stał się naprzód moim przyjacielem, a z czasem takeśmy się pokochali, że pamięć tego szanownego człowieka, jest mi zawsze droga.

W czasie jednéj z przechadzek, którychśmy często, rozmawiając o uczonych przedmiotach używali, napotkaliśmy grono kobiet, pomiędzy któremi jedna ściągnęła naybardziéy moję uwagę i zdawała się równie mocno we mnie wpatrywać. Uczułem pierwszy raz w sobie jakoweś poruszenie którego dotąd nie znałem, i nie wiem, czy-

Jim był zdolny odpowiadać na zapytania mego przewodnika. Postrzegł zaraz to moje pomieszenie i rzekł mi te słowa: „Żałuję, że cię tu przyprowadziłem, bo widzę, że ze zmienionym humorem powracasz.“ — Pierwszy raz stałem się względem niego skrytym i zapewniałem go, że humor mój jest ten sam, ale że mi się w głowie kręci. Uśmiechnął się, mówiąc: „Wierzę temu; ale to zapewne przeminie“ — „O tak zapewne!“ odpowiedziałem z westchnieniem, które mi się poniewolnie wymknęło. Powracaliśmy do domu mówiąc mało, a mój przewodnik zdawał się więcej niż zwykle być na mnie uważnym.

Następującej nocy nie zmrużyłem oka, tak mię dręczył obraz téj, którą pierwszy raz widziałem, a która się tak gwałtownie wkradła do serca mego. Dzień już był, a ja nie spałem jeszcze, gdym uyrzał wchodzącego Franciszka. „Przychodzę cię pocieszyć,“ rzekł z uśmiechem, „jeżeli jakiego potrzebujesz pocieszenia.“ — „Szanowny człowieku, twoja przytomność jest mi zawsze

miłą; odpowiedziałem; a teraz tym bar-
 bziéy, gdy mi już krótki tylko czas zostaje
 do cieszenia się z tobą (bo powinienem u-
 wiadomić czytelnika, iż Franciszek, odbie-
 rając inne przeznaczenie, miał się oddalić,
 aja, podług zdania wszystkich, nie potrze-
 bowałem już żadnego szkolnego przewodni-
 ka).“ „Wdzięczny ci jestem, — mówił
 Franciszek, — znam twoję przyjaźń dla
 mnie, i przychodzę ci się wywdzięczyc.
 Kilka już lat żyjemy z sobą, a ty nie wiesz
 jeszcze kto jestem. Chcę cię uwiadomić o
 wszystkiém, bo wart jesteś mego zaufania.“
 Na te słowa zarumieniłem się; zdawało mi
 się, iż mi wyrzuca na oczy nieufność
 względem siebie po wczorayszym przy-
 padku.

*Historja Franciszka * * **

„Historja moja“ rzecze mój przyjaciel,
 „jest krótka i bardziéy może zadziwiająca
 dziś, aniżeli ci się wydawać będzie wów-
 czas, gdy poznasz świat doskonale. Opo-
 wiem ci ją, bo ci może służyć za przykład

w życiu twoim; znajdziesz w niéy zdarzenia, którymbyś może nie wierzył, a przecież są prawdziwe.“ — „Nie rozumiem, przerwałem, abys był kiedy nieszczęśliwym.“ — „Wstrzymaj twoje zdanie, dopóki nie usłyszysz, rzekł. Nie jestem nieszczęśliwym, lecz nie każdy w mém miejscu byłby nim tak mało: bo masz o tém wiedzieć, że nie wielka jest liczba ludzi, którzy nie przywiązując się do czcnych uroień, zdołają znaleźć prawdziwe szczęście. Co się mnie tyczy, jestem nad innych tyle szczęśliwszy, że religia i filozofia potrafiły wzmocnić mój umysł, i nie pozwalają tyle uczuwać owych niepomyślności, któreby może kogo innego o rozpacz przypawiły. Nie sądzę jednak, iżbym i ja nie miał niekiedy westchnąć; tak jest słabe przyrodzenie ludzkie, iż trudno jest wygluzować zupełnie wszelką próżność z umysłu i serca naszego. Masz więc wiedzieć kochany Macieju, że jestem synem człowieka bardzo pospolitego, który przecież nie był nim w istocie, bo pochodził z familii niegdyś pierwsze

w kraju trzymających miejsce. Dziadek mój był synem majątnego Wojewody, a ja jestem synem człowieka, który ciężko na chleb pracować musiał.“ — „Dla boga, przerwałem, cóż za sprzeczność, i jak to być mogło.“ — „Przewidziałem to, rzekł Franciszek, iż ci się historia moja wyda niepodobną do prawdy, jest jednakże naysztetniejszą. — Powiedziałem ci już, że dziadek mój był wojewodzie, posiadał przytém majątek ogromny, i nie pospolite pomiędzy ziomkami swemi znaczenie: dziedziczył on wszystkie cnoty, ale oraz nałogi i przesady swoich przodków, i to było przyczyną, że oyciec mój został w tak biednym stanie pograżony. Nieuhamowana chęć bicia się w pałasze i pieniactwo zruynowały już dostatecznie majątek mego dziada, gdy oyciec mój będąc jeszcze młodym, bez zezwolenia, którego mu dać nie chciano, poślubił sobie tajemnie córkę ubogiego, ale poczciwego obywatela. Dziad mój dowiedziawszy się o tém, nie chciał mu nic z dóbr odstąpić, z oświadczeniem, iż przed

śmiercią jego nie ma się spodziewać ani szeląga. Tymczasem dziad mój stracił wszystko do ostatka, umarł sam z nędzy i rozpacz, pozbawiwszy mego oycę wszelkiej nadziei. Tym sposobem oyciec mój wyczerpawszy ostatki żoninego bardzo miernego posagu (któregoby mu nie oddano, gdyby można było przewidzieć upadek dobrego mego dziada), w naysmutniejszem pograżony położeniu, zupełnego doznawał niedostatku; rodzice żony nie mogli i nie chcieli mu dopomagać, a ja jużem się był urodził, co nowych potrzeb i wydatków przynmnożyło. W tak biednym stanie oyciec mój nie mogąc znieść na sobie przebywania w okolicach, gdzie go wszyscy znali, łatwo namówił żonę, która go czule kochała, do przeniesienia się w obce strony. Tak spieniężywszy resztę ruchomości, tając swoje urodzenie i nazwisko, udał się z moją matką i ze mną do Przemyśla; a najawszy nam na przedmieściu ubogie pomieszkanie i zostawiwszy matce mojej nieco na żywność pieniędzy, w kilka dni od

nas odjechał i nie widzieliśmy go więcéy jak 8 miesięcy. Miewaliśmy jednak od niego wiadomości, bo nam po kilka razy przysłał pieniędzy. Matka moja nie wiedząc bynajmniéy o jego przedsięwzięciu, płakała nieustannie. — Nakoniec nic niezna-
czący przypadek uwiadomił ją, że oyciec mój, zarabiając na życie własne i utrzyma-
nie żony i dziecięcia swego, bawił się fur-
manką; a ile razy przyjechał do Przemyśla,
zawsze nam przesłał pieniądze, widując
nas, ale tak ostrożnie, żeśmy go nigdy wi-
dzieć nie mogli. Dopiero potém, kiedy
już oyciec mój tańc dłużej nie mógł swego
postępowania, mieszkał razem z nami i tyle
był w zarobku swoim szczęśliwy, że nam
zawsze wystarczało na wygodne życie, sto-
sownie do ówczasowego stanu, w jakim by-
liśmy żyć przymuszeni. — Tak przepędził
oyciec mój lat 8, ja miałem wówczas lat
10; poznawałem wiele i niezmiernie mię
bolało, kiedym widział smutek na twarzy
rodziców moich. Chodziłem do szkół i w
krótce zasłużyłem sobie na przychylnosc mo-

ich przełożonych, którzy mię przez wzgląd na mój stan, jednemu majątnemu obywatelowi do usług jego syna, w tychże samych szkołach zostającego, polecili. Oyciec mój byłby na to nie zezwolił, bo jak mi to umierając powiedział, pragnął tego, aby los mnie nagroził to, w czém jego upośledził, pragnął zatem, abym na znacznego wyszedł człowieka; lecz w tymże samym czasie, co było z powodu niesmaku życia i niewygody, ciężką złożony chorobą, przyzwał mię do siebie, i uwiadomiał mię o historii życia swego, zachęcił mię i owszem, abym nie odrzucał ofiarowanego mi miejsca, kładąc oraz na mnie obowiązek, abym o biedną matkę pamiętał: we dwa dni potem umarł, a matka moja nie przeżyła go dłużej jak do dwóch tygodni. Żem i sam nie pośpieszył za niemi, przypisać to muszę przyczynom bardzo naturalnym; matka moja czując od dawna dolegliwość swego stanu, tyle już miała osłabione zdrowie, że śmierć męża natychmiast ją dobiła; ja zaś dopiero teraz o wszystkiem uwiadomiony, dopiero teraz

początek zgryzot znalazłem, a będąc w biednym stanie urodzony i wychowany, nie miałem wyobrażenia o innym, tylko z powieści, i nie wiele mię to obchodziło. Moje przeto zmartwienie pochodziło tylko z przyczyny śmierci rodziców, matki zaś mojej zmartwienie miało więcej powodów. — Przeżyłem więc ten cios i z czasem mogłem być spokojniejszy; wyznam jednak szczerze, iż późniéj zacząłem wzdychać do téj świetności, do której podług powieści oycy mego miałem się urodzić. — Tymczasem trzeba było służyć za chłopca; ale w krótcie przyszedłszy do wyższych szkół, byłem w stanie, uczenia młodszych; odmieniłem przeto mój stan i zostałem dyrektorem przy dzieciach jednego obywatela, który mi nie źle prace moje nagradzał. — Nabrałem wiele chęci do nauk, a że w Przemyśle pomnieysze tylko były szkoły, udałem się do Lwowa, a wynalazłszy dla siebie stosowne miejsce, gdzie mogłem żyć uczciwie, przedsięwziąłem z wyższych korzystać nauk. Lecz nie bez zarumienienia wyznać

ei muszę, zawiódłem się w zamiarach, bo
 zamiast pilnowania nauk, zacząłem pilnować
 pewney wdowy, którą po kilkokrotném wi-
 dzeniu szalenie pokochałem. Poznałem ją
 w domu, w którym ja czasem przebywa-
 łem. Nie będę ci opisywał jéy obrazu,
 była dla mnie wszystkiém, była bóstwem,
 bo w oczach kochającego, przedmiot uko-
 chany jest zawsze naydoskonalszym, cho-
 ciażby istotnie na żadną nie zasługiwał u-
 wagę; i dla tego nic nie masz tak niebez-
 piecznego dla młodzieńca, jak niebaczne
 zakochanie się — co uyrzysz z ciągu histo-
 ryi mojéy. — Byłem bez doświadczenia, a
 zatem sądziłem o rzeczach tak, jak mię
 w pierwszéy chwili uderzały w oczy, ani
 zastanawiałem się nad tém, że powierz-
 chowność oszukać może. Tym bardziéy
 uwiodło mię zdanie: że w piękném ciele
 piękna mieszka dusza, i to mię naywięcéy
 zdradziło, żem tę myśl tak bardzo upo-
 wszechnił. Wdowa moja znała doskonale
 świat, łatwo jéy zatem było odnieść nade-
 mną zwycięztwo: ile jéy pustoty wydawały

się w oczach moich rozumnymi, tyle była roztropną w swoich przedsięwzięciach. Tak była ostrożną, że nikt nawet z jęj domowników nie mógł dostrzedz jęj intryg miłosnych. Z tém wszystkiém była to jedna z tych, o których mówią, że umieją żyć na wielkim świecie, chociażby im wcale inne mogło służyć nazwisko. Za drugim widzeniem się ze mną, zwracała często rozmowy do skromności, wielbiła ją nadewszystko w młodym mężczyźnie, wystawiała mię za przykład i tak nieznacznie rzucała na mnie pochwały, że bez obrażenia mojęj skromności, trafiły do umysłu mego. Pochlebstwo jest to najniebezpieczniejsza trucizna, bo jest niezmiernie smaczna i rzadko się znajduje, komuby się pochlebstwo zręcznie wypuszczone, nie podobało. — Ja nie sądziłem, iż mi wdowa pochlebia, ale tyle w nięj znalazłem wdzięków powierzchownych, iż ożu od nięj odwrócić nie mogłem; tyle przymiotów serca i umysłu, że zdawało mi się słyszeć mówiącego anioła, kiedy usta swoje otworzyła.

Oświadczyła mi sama chęć częstego przestawiania ze mną, aby, jak mówiła, z tak słusznym i światłym młodzieńcem przyjemne prowadzić rozmowy; nie potrzeba było powtarzać mi tego żądania, za pierwszą wydaną porą odwiedziłem ją i dopełniłem mojego nieszczęścia. „W Pan mię odwiedzasz“ rzekła, „bez świadków, zastanowiłeś się nad tém, że bywając u mnie, podasz się w porozumienie, jak byś się we mnie kochał? Jestem pewną, że do tego nie masz najmniejszego podobieństwa, a nadto ufam twojey skromności i twemu charakterowi, jednakże ludzie mogliby o nas mieć porozumienie.“ — Nie wiem co w tych słowach było takiego, co mię w skróś przejęło, zadrżałem cały, a całując jéy rękę, rzekłem: bądź pani pewna, że moje dla niéy uszanowanie, rozpędzi wszelkie złe pomyslenia potwarców. Na te słowa uśmiechnęła się mówiąc: nie jest to koniecznie potwarzą, kiedy mówią o kim, że się kocha, bo miłość nie jest występkiem; jednakże ja w pana proszę, o takie względem

mnie postępowanie, żebyś o to nie mógł być posądzony.“ — Te jęý słowa rozdrażniły mi serce tym bardzięý, że już byłem mocno zakochany. Nie odpowiedziałem jęý nic na to, ona też widząc moje pomieszanie zwróciła mowę do czego innego, tylko czasem używała słówek i żarcików, które co raz bardzięý umysł mój zapalały; a pożegnawszy się z nią, mogłem się już nazwać zapamiętałym kochankiem. Rozmyślałem resztę dnia i całą noc następującą nad tē, co się z duszą moją działo, i nie znalazłem w nięý żadnego innego obrazu, nad obraz mojęý kochanki.

Dni następujących zapomniałem o naukach i wszystkich moich obowiązkach; roztropna wdowa zajęła mię całego, pobiegłem widzieć ją, oświadczyła mi grzeczną wdzięczność za odwiedziny, lecz oraz wyłajała mię, że m przynajmnięý dnia jednego nie opuścił. „Nie moją będzie winą, mówiła, jeżeli cię kto posądzi; ja sama ledwie bym nie myślała, że się we mnie kochasz; lecz jeżeli tak jest, będę się starała wypro-

"wadzić cię z tego błędu." — Chytra wdowa
 znała dostatecznie stan duszy mojej i po-
 dobno lepiej aniżeli ja sam. Naymocnięj
 zachwalała miłość, ale między mną i sobą
 takie znajdowała niepodobieństwo (była bo-
 wiem majątną i odemnie kilką laty starszą),
 tyle użyła dowcipu na drażnienie mnie, iż
 upadłszy jej do nóg, wyznałem miłość mo-
 ję, prosząc naymocnięj o przebaczenie,
 że się ważyłem moje ku niej zwrócić zapa-
 ły. — Rzekła mi z łagodnością, iż za to
 gniewać się nie można, gdyż to nie było
 moją winą, co serce czuje; oświadczyła mi
 swoje politowanie prosząc mię mocno, a-
 bym o niej zapomniał. — Na to odpowie-
 działem, że ją owszem wiecznie kochać bę-
 dę. — Po téj przysiędze, powróciłem do
 siebie w mocném postanowieniu nie złama-
 nia jej nigdy. — Odwiedzałem ją co dzień,
 i co dzień stawałem się śmielszym; nako-
 niec znalazłem się nayszczęśliwszym kochan-
 kiem. Tym czasem obowiązki moje i szkol-
 ne zatrudnienia spały. Rok upłynął, a ja
 żadnych nie uczyniłem postępów, utraciłem

miejsce, w którym do tychczas zostawałem; oyciec uczniów mnie powierzonych, był dość delikatnym, że mi nie wyrzucał nie-dbalstwa, ale oświadczył tylko, iż na ten rok żadnego dla nich nie chce mieć przewodnika; późniéj jednak dowiedziałem się, że mię oddalił jedynie z przyczyny mojęy opie-
 piezłości. Zostałem bez sposobu do ży-
 cia i poszedłem złożyć me troski na łono ukochanéy wdowy, która się niezmiernie nademną litowała, narzekając i rzucając ty-
 siąc przeklęstw na niesprawiedliwość ludzi. Musiałem żyć bardzo miernie, bo zapas pieniędzy inaczéy nie pozwalał; mojęy ko-
 kochance nie śmiałem mówić, ona też o-
 prócz miłości nic mi więcéy nie ofiarowała. Lecz wszelkie przykrości były mi znośne, bom kochał i byłem kochany. — W tym
 stanie upłynął rok drugi, ja zawsze byłem
 szczęśliwy, i kiedym się tego naymniéy oba-
 wiać mógł, doznałem skutków niestate-
 czności losu. Byłem już tak ośmielony do
 mojęy wdowy, że częstokroć wchodziłem
 do jéy pokoju bez opowiedzenia się. — Ra-

ni jednego wszedłszy nie zastałem jéy, tylko list do niéy, porzucony na stole; uniosła mię ciekawość, przeczytałem i znalazłem go w następującéy osnowie.

Kochana Rozalio!

Gdybyś nawet żadnych nie miała wdzięków, szalałbym dla ciebie przeto samo jedynie, że tyle jesteś dla mnie powolną. — Będiesz więc na dzisiejszym balu maskowym. — Nie przyydzimy razem, nikt nas przeto nie posądzi, lecz trzeba abyśmy się łatwo poznali. — Ja biorę na siebie postać Bachusa — a ty śliczna krolowa napisz mi jakąś będziesz boginią. — Czekam niecierpliwie chwili widzenia ciebie.

Twój z duszą i ciałem sługa —

P. S. Zaklinam cię, urządź tak twój dom, aby mię, gdy cię odprowadzę, nie postrzeżono, bo mam ci ważną tajemnicę objawić, ale bez świadków. —

Nie było żadnego podpisu, nie mogłem zatem wiedzieć od kogo to wezwanie pochodziło, domyslać się tylko należało, że bilet był od znajomego dostatecznie. Złość mię

porwała, sam nie wiedziałem co przedsię-
brać; zacząłem bez myśli przerzucać papie-
ry, z których wypadła kartka jakaś zapisana;
był to żądany a zapewne jeszcze nie odesła-
ny odpis w te słowa:

Mój lubi drogi przyjacielu!

Będę ubrana jak *Psyche*, po tym stroju
łatwo mnie poznasz. Cóż mam czynić, zwy-
ciężyłeś mię. Powrócimy z balu karetą na-
jętą, którą wraz z ludźmi odeszlę, a zatem
nie obawiaj się żadnego podeyrzenia.

„Łatwo sobie wystawisz, mówił dalej
Franciszek, co się działo ze mną, kiedym
to przeczytał, nie wierzyłem oczom moim;
przychodziła mi nawet myśl, iż moja ko-
chanka dla jakiegoś doświadczenia mnie,
podrzuciła te pisma; chciałem się przeko-
nać, wybiegłem prędko, aby mię powró-
ciwszy nie znalazła, z postanowieniem być na
balu świadkiem mego nieszczęścia. — Lecz
aby tym lepiej poszło, abym nie dał powo-
du jakiego dorozumienia się, żem jeden
dzień opuścił, w godzinę przybyłem do
wdowy, a udając, że mam do czynienia

z krewnym, który tu przyjechał, nie długo bawiłem. Nie wiem czy widziała moje pomieszanie. —

Z jakąż niecierpliwością oczekiwałem godziny balu, na który chciałem pójść, ażebym się przekonał, albo o niewinnym żarcie mej kochanki, albo o jej zdradzie i chytrém oszukaństwie. — Wziąłem więc maskę ażebym nie był poznany, a wiedząc dokładnie jak ma być ubrana para, która się moim kosztem cieszy, łatwo mogłem uważać wszystko, sam nie będąc poznany. O godzinie 10. biegnę na bal; prawie pierwszy wszedłem do sali; chciałbym posunąć wszystkie zegary, tak mię dręczyła niecierpliwość. O godzinie jedenastey widzę wchodzącego *Bachusa*, który przebiegłszy salon, zbliżył się napowrót ku drzwiom i na wszystkich wchodzących poglądał; jak zwykle czyni ten, który na kogoś oczekuje. Tymczasem nie widząc nadchodzącej *Psyche*, zacząłem już narzekać na siebie, że ją tak mógł posądzać; bo mówiłem sam w sobie: być może, iż przypadek sprowadził innego

Bachusa, który z moją wdową żadnego nie ma związku; ale mię znowu zastanawiały listy, które u niéy czytałem; nakoniec godzina dwunasta okazała stan rzeczy. Na widok wchodzącéy bogini, któręy natychmiast czekający na nią *Bachus* podał rękę, zniknęła wszelka wątpliwość, a mieysce jęy zajęło po krótkiéy chwili to przeświadczenie, że moja wdowa, którą nad życie kochałem, była nayniegodziwszą szalbierką. Zapaliłem się naywiększym gniewem, i nie wiem co mię wstrzymało, żem jęy natychmiast nie zdart maski, ażeby ją zawstydzić; nie uczyniłem jednak tego i wymógłem tyle na sobie, żem chciał cierpliwie czekać końca. Nie potrafię ci opisać mojego stanu. Miłość, nienawiść, złość, smutek, rozpacz, wszystko mną razem miotało; nie raz nawet odzywała się nadzieja, któręy powodu sam naznaczyć nie umiałem.

Nie mógłem jęy porzucić, nie mógłem przemówić do niéy, ale pragnąłem słyszeć ich rozmowę; słyszałem ją niestety, a imię

moje z szyderstwem wymawiane, rozbroiło zupełnie cierpliwość moję.

Autor tego rozdziału czytając Idziego Blassa z Santylany, żałował nie raz, że w naszym języku mało mamy dotąd w podobnym smaku narodowych dzieł; bo, mówił, lubo cnoty i występki wszędzie są jedne, z tém wszystkiém, gdzie idzie o zachęcenie do pierwszych, a odstręczenie od drugich, nie tyle na nas działają obce przykłady, jak te, które z oczystych zalet i narowów są brane. Więcéy nas obchodzą zwyczaje i obyczaje nasze, więcéy je czujemy, więcéy zatém z czytania podobnych dzieł odnosilibyśmy korzyści. Z tego powodu uczynił małe doświadczenie, w ciągu którego zdawało mu się, iż i z naszych zwyczajów i obyczajów równie przyjemne, równie użyteczne możnaby tworzyć dzieła. Oby ta próbka zachęciła zdolnych rodaków do pism podobnych; bo wyznać należy, że o dziełach obyczajowych narodowych, któreby tylko od niechcenia przyjemnym i bawiącym sposobem zajmując umysły, skutecznie na nich działały, aż dotąd zbyt jeszcze mało myślano.

Jeżeli sposobność posłuży, może autor tego pisma, dalszy ciąg jego ogłosić.

O stanie oświaty i człowieczeństwa w przyszłym wieku (XX.) z dzieł T. H. Frydrycha.
(Objawienie poetyckie.)

Powracałem właśnie z popisu szkolnego, na którym dwunastoletni *Cycero* łacińską rozprawę o stanie filozofii u Egypcyan i Chaldecyzyków, a czternastoletni *Plato* grecką krytykę błędów *Konfucyusza* i *Zoroastra* czytali. Zdziwiony obfitością i mocą światła, z tych młodych mędrców wychodzącego, wstąpiłem do jednego badacza natury, który zważywszy naynowsze cuda zwierzęcego magnetyzmu, zgromadzonym słuchaczom teorią nieznanym sił przyrodzenia tłómaczył.

„Dla Boga!“ — zawołałem idąc do domu — „jak piękne, jasne południe obiecuje ta jutrzienka! jaka pochodnia zapala

się dla nas w ciemnéj massie tajemnic przyrodzenia!“ —

W domu rzuciłem się na sofę natężając co raz bardziéj uwagę moję. Myśli moje bujały po nieprzeyszanych krainach najnowszych odkryć i wynalazków. Co tylko w filozofii, poezyi, fizyce i chemii, w pięknych sztukach i mechanice wielkiego i wspólnałego na świat wychodzi: wszystko to nakształt pstrych obrazów latarki czarodziejskiéj, przesuwalo się przed moim wzrokiem wewnętrznym.

„Rodzay ludzki olbrzymim postępuje krokiem — myślałem sobie. — Dziesiątek lat więcéj teraz przynosi owoców niż niegdyś wiek cały; a jeżeli terażnieyszość jest zarodem przyszłości, to chciałbym wiedzieć, jak też w przyszłym wieku“ — — — „wyglądać będzie“ — chciałem mówić. —

Ale właśnie w téj chwili bożek snów przeciął nić dalszych rozważań moich. W jedném okamgnieniu znalazłem się w roku 1901. Poglądałem naokoło siebie, chcąc wysledzić gdzie to ja jestem. — Z kańczuga,

który przy nogach moich leżał, wniósłem, że muszę być w północnej części Europy, gdzie to narzędzie muzyczne jest w użyciu. Aby się o tem przekonać, przystąpiłem do chłopka niedaleko orzącego, wzięwszy z sobą kańczug, który uważałem jako talizman przez mojego dobrego anioła mnie nastreczony.

I tak było w samą rzecz. Bo skoro go chłopek zoczył, zdjął czapkę, zastanowił swój pług i zbliżył się ku mnie z uszanowaniem. —

„Jaki rodak jesteś?“ zapytałem. —

„Żmudziak, gnaediger Seigneur!“ odpowiedział chłopak. — Dałem mu poznać moje zadziwienie, że trzema językami jednym tchem mówi.

„Tych języków wyuczył nas mistrz, który się u WPana Dobrodzieja w ręku znajduje“ — odpowiedział dobrą ciceronią łaciną.

„Co? nawet po łacinie?“ — zawołałem. —

„Od czasu, rzecze, jak w naszych szko-
łach wiejskich *Cycerona* i *Homera* wykła-
dać zaczęto — mówi każdy chłop żmudzki
po grecku i po łacinie.“

Uklonił mi się głęboko i poszedł do
swojej pracy. — Dopiero teraz postrzegłem,
że pług jego idzie bez koni i wołów; a gdy
zdzumiony, pytał o przyczynę tego zjawiska,
uśmiechnął się na moją niewiadość i wy-
tłómaczył mi, że to jest pług machiną pa-
rową pędzony, którą pewien mędrzec w ro-
ku 1850. wynalazł, a przezto imię swoje w
dziejach wykształcenia narodu nieśmiertel-
ném uczynił.

W samą rzecz pług ten, ztwardnia-
łą ziemię krajał jak masło z taką szybkością
i łatwością, że w 10 minutach cały morg
roli był zaorany; chłop siadł na swojej ko-
laseczkę, palił *Cygaro* z *Hawanny* i czytał
sobie sielanki *Wirgilego* w oryginale.

„Na, to musi być prawda! —“ rzekłem
przyszedłszy nieco do siebie z zadziwienia.
— „Widać zaraz, żeśmy o cały wiek po-
stąpili,

„Pan dobrodziejś zdajesz mi się być urodzonym na innym planecie“ — rzekł chłopiec — „inaczej byłoby mu wiadomo, że od czasu jak mądry *Omus* nauczył nas tajemnicy podbijania żywiołów i rządzenia niemi podług woli naszej, wszystko do czego tylko siły ludzkiej lub bydlęcej kiedyś używano, teraz wiatrem, wodą, ogniem i parą pędzone bywa. Nasze zboże sieje się, kosi i młóci maszyną wiatrową; nasze wozy, sianie i statki na wodzie maszyna parowa pędzi. Co większa, od pół wieku tak daleko postąpiliśmy w mechanice, że już mamy maszyny do zabijania ludzi i wołów, do pieczenia chleba, a nawet do ogolenia brody i wytrzeptania grzbietów całej kompanii żołnierzy na jeden raz. Mamy maszyny rekwizycyjne, które za pomocą kańczuga całe nieposłuszne gminy do rozumu przywodzą. Co mówię? Mamy maszyny parowe, przez które, całe biura, i maszyny rachunkowe przez które całe izby obrachunkowe pędzone bywają: coś już nawet przebąkują o maszynach wyrokowych i referato-

wych, o fabrykach praw, przez które w jedném okamgnieniu, całe prowincye rozkazami i ustawami napełnione być mogą, także o fabrykach rymów i recenzyy, które za pomocą wody, wiatru i pary w czynność wprawione, znaczną liczbę bezużytecznych piśmaków w kął zapędzą. Wszystko to winniśmy mądrymu Omusowi.“

„O proszę cię“ — zawołałem zdziwiony — gdzież ja znaydę tego cudownego człowieka, ażeby przed nim upadł na kolana i cześć mu oddał? — „*Lupus in fabula!*“ odpowiedział chłop, i wyciągnął rękę — oto zlatuje z góry.“

Widok tego ptako-człeka takie uczynił na mnie wrażenie, żeś się natychmiast przebudził.

O stósunkach towarzyskich. (*)

Na próżno stronnicy rozwiązłości okrytę płaszczykiem wolności utrzymywaliby, że nie można powstawać na ję zbytki, nie będąc niesprawiedliwym; na próżnoby się odwoływali do szkód, jakie z nadużycia w pismach wyniknąć mogą; bo czyliż przeto, że podpalacz używa ognia dla zrządzenia pożaru, władza powinna wnosić, iż należy zabronić ognia wszystkim obywatelom? — czyliż potrzeba zamknąć na zawsze wszystkie drogi i zabraniać podróży, aby uniknąć rozbójników po gościńcach? czyliż głos uniesionego namiętnością, własnym, osobistym interesem zaślepionego pisarza, komu innemu wzdargę przynosi? — Dobrzy książęta i ich mądrzy ministrowie nie obawiają się satyr ani paszkwilów. *Tytus, Marek Aureli*, byliżby mniéj bezpieczni na tronie, gdyby jaki bezrozumny krzykacz, po-

(*) Początek téj rozprawy znajdował się w Nro. 3. pisma poznańskiego na Sierpień 1822 roku.

wstawał był na ich rządy? — Prawdy boją się zli; tylko; potwarz publiczna nic nie doła przeciw ludziom, których dobrodziejstwa powszechność doznaje. Nieprzyjaciele narodu zasługują na to, aby ich okryć wstydem i hańbą. — Pismo jest rozwiozłe, kiedy prawdziwie szkodzi społeczeństwu; ale nie wtenczas, kiedy się nie podoba jego nieprzyjaciółom.

Ale powie znowu kto: jakże daleko ma się rozciągnąć ta wolność? Jeżeli nienawiść osobista, może żądza zemsty, duch sprzeczności i zamięszania podda dzieło, nie potrzebaż za nie ukarać pisarza? — Każdy pisarz dzieła nieprawego podpadnie karze; niesmak powszechny będzie mścicielem napastowaney cnoty i zasługi; wzgarda, zgryzota i hańba bywają powszechnie udziałem pisarzy, których piórem namiętność i szaleństwo powodowały.

Cóż więc jest śmiałość w pismach? Jest to dać poznać swoim współobywatelom prawdy, których nie znają; jest to odkryć im zasady, które są użyteczne, chociaż przeci-

wne przyjętym przesądom, albo namiętnościom tych, co o ich losie stanowią; jest to udzielić im swoich wyobrażeń, aby o nich sądzić byli zdolni, i uznawszy je za dobre, przyymowali, albo uznawszy za złe, odrzucali.

Pod rządem absolutnym nazywa się burzliwością słuszną niecierpliwość obywatela, którą śmie okazać na widok prawolamstwa; ale rząd sprawiedliwy, mający zawsze na celu szczęśliwość rządzonego ludu, nie potrzebuje okrywać tajemnicą sposobów, jakimi rządzi. Kto nie chce słuchać prawdy, zdaje się przyznawać, że źle działa, i że nie ma zamiaru działać lepiéy na przyszłość.

Umiejętność rządzenia, byłaby sama jedna tylko, która nie potrzebuje ni doświadczenia, ni rozwagi ludzkiej? Czyliż ci, w których ręku władza jest złożona, powinni mniemać, że ich gieniusz i przenikliwość są nieomyłne i wystarczą w naytrudniejszych okolicznościach?

Gęsi, mówią, niegdyś zbawiły Rzym. Najmniejszy czasem z obywatelów, może

odkryć zdanie użyteczne, od którego zawisło szczęście państwa całego. Potrzeba odpowiadać książką na książkę. Rząd sprawiedliwy chce rozkazywać ludziom rozumnym i zdolnym czuć szczęście swoje: on wie, że poddany, im oświeceńszy, tym będzie cnotliwszy. — Przeciwnie po naylicznieszey kupie głupich niewolników niczego spodziewać się nie można. Człowiek wolny nie lęka się rozimnażać swoich następców, bo tym sposobem pomnaża byt swój dobry. Naród jest szczęśliwy, kiedy rząd umie kierować jego namiętności ku dobru ogólnemu: a panujący który pozwala poddanym oświecać się przez rozum o ich własnym interesie, znayduje ich zawsze cnotliwych i spokojnych; bo jakżeby nie miał być spokojnym i cnotliwym człowiek, któremu wolno jest mówić: *jestem panem osoby mojej, mogę rozrządzać moją wolą; żadna siła nie zdoła mi wydrzeć owoców mojego przemysłu; żadna potęga nie pozbawi mnie dobrodzieystw, które przyrodzenie do wspólnego użycia dzieciom swoim zostawiło.*

O k a r t a c h.

Karty do grania nazywane były w początkach przez Włochów *nałbi*, przez Hiszpanów *naipes*, co w językach wschodnich znaczy przewiedzenie, przepowiedzenie; jest także domniemanie, że najpierw do Azji i Afryki, przez Cyganów, które są narodem indyjskim, wprowadzone zostały; do Europy zaś weszły od wschodu.

Pierwsze karty były malowane, i za takie uznane są karty włoskie z r. 1299.

Ale kiedy i przez kogo karty wprowadzone zostały do Polski, nie wiele o tem wiedzą historycy: zdaje się wszakże, iż ta zabawa, w naszych czasach tak powszechnie lubiona i używana, od dawnych lat była tu zagnieżdżona, bo już w wieku 16. narzekali na jej natręctwo ludzie, którzy w rozrywkach swoich, istotnéj rozrywki szukali; jak się to pokazuje w *Dworzaninie Łukasza Górnickiego* (*) gdzie mówi: „A gdy do niego (do X. Maciejowskiego) często dworzenie pan Kryski, pan Wapowski, pan Aleksander Myszkowski, pan Derśniak, pan Bojanowski i inni zącni przyjeżdżali; trafiło się raz, iż X. biskup po obiedzie u stołu sie-

(*) *Łukasz Górnicki* pierwszy z prozaików naszych, żyjący w pierwszój i drugiej połowie 16. wieku, bawił długi czas na dworze *Samuela Maciejowskiego* biskupa krakowskiego naówczas kanclerza; i tam znalazł pochop napisania swojego *dworzanina*, w którym naucza, jakimi być powinni ludzie wyższego wykształcenia.

dząc, gdy ktoś karty wspomniał, powiedział: Azaby się nie mogła znaleźć jaka insza krotofila, nie ta ustawiczna karty? czemu by też kto nie wniósł owego obyczaju do nas, który jest we Włoszech, iż szlachta zacna, polerując rozumy swoje, wynayduje gry rozumne i tych używa, w których się nierówno większa uciecha i pożytek znayduje, a niżeli w kartach: zaprawdę W. M. by to przystało; którzy świeżo z Włoch przyjeżdżacie, nie zaniechywać tych dobrych zwyczajów; ale owszem do tego wieśdź drugie, żeby się ich imowali.“ — Na to pan Kryski tak odpowiedział — „Jako wiele obyczajów dobrych jest we Włoszech M. księżę, tak też ten, który ja bardzo chwale, iż ludzie zacnieysi, mają tę zabawę pożyteczną, ku obostrzeniu rozumu, gry rozmowne: i bardzobym ja temu rad, aby się ich też u nas ludzie nie sprośni jeli.“ —

Takie było mniemanie za czasów Górnickiego: a teraz? *Tempora mutantur*. Dziś nie jeden podobno mniema, że nie masz rozumu, ni uciechy, tylko w kartach; a przecież wiek nasz chce się zwać oświeconym: szkoda tylko, że nie może wyrównać wiekowi Górnickiego. —

Pająk i Jedwabniczek.

Bayka.

(przez Jasńskiego. *)

Go to za poczwarka dzika? —
 Rzekł pajak na jedwabnika —
 Mnie się zdaje że on przedzie;
 Obaczymy co to będzie.
 Nieborak! ja go żałuję,
 Widział coś i naśladowe.
 Chceszli, rzecze, poznać sztukę,
 Proszę do mnie na naukę:
 Trzeba mój bracie kochany,
 Skakać od ściany do ściany
 A nie tak na rogu stołu
 Gnić z twą robotą pospołu;
 Wszakże twéy całéy osnowy,
 Nie ma na orzech laskowy. —
 Robak mu rzecze pokorny:
 Cenię twóy talent wyborny;
 Lecz dziękuję za przestroge,
 Ja inaczéy prąszyć nie mogę;
 Nie chcę w robocie zakału,
 Wolę dobrze, choć pomału. —

(*) Waleczny i znakomitych w zawodzie swoim
 zasług szacowany i żalowany od narodu Ja-
 sińskiego, był także i muz przyjacielem. Zamil-
 czając z uszanowaniem jego czyny godne
 piora znających go zbliżka uczonych roda-
 ków, mniemamy uczcić tém pamiątkę męża,
 kiedy niektóre z pism jego ulotnych umie-
 ścimy.

B a ń k a m y d l a n a.

Bayka przez tegoż.

Pod jasnym słońcem bujała sobie,
 W setnych kolorach bańka mydlana;
 Dmuchał ktoś z boku — już po ozdobie,
 Zniknęła pompa wiatrem nadziana.

S t a w i S t r u m y k.

Bayka. (Pełka.)

Wód ogromem staw nadęty
 Rzekł, pieniste tocząc wały:
 Nie ścieśni mnie zima pęty,
 Nie zaszkodzą mi upały.
 Ja jestem zwierciadłem słońca,
 Co dzień się przegląda we mnie,
 Jasnym od końca do końca
 Krocie ryb żywzię daremnie.
 Strumyk co tam w niego wpadał,
 Mruczy na to, niby staje,
 Rzekł: zbyt chępliwie staw gadał;
 Ja mały wody mu daję.
 Przyszła jesień, staw spuścili,
 Okazałość próżna ginie;
 Pyszny zniszczał w krótkiey chwili;
 Strumyk jak płynął tak płynie.

Dziwactwa miłości.

Molski.

W swém rozrządzeniu miłość jak ma-
cocha,

Żle serca klejąc okrutnie je gubi,
Irvę kocham, ona mnie nie kocha,
Egli nie cierpię, a ona mię lubi;
Doryda piękna, co to wszystkiem włada
I w swéy urodzie kształty ma tak dziwne,
Na wszystkich jarzmo niewolnicze wkłada,
Niektóre serca ma sobie przeciwnie;
Filis się wszystkim podoba serdecznie,
A onéy nikt się podobać nie może;
Dorys chce kochać każdego statecznie,
A jéy nikt nie chce . . . Coż to robisz
Boże!

DONIESIENIE.

Jeżeli obecna książeczka znajdzie czytelników, mo-
że w krótkce wyśdź na prenumeratę druga podo-
bna, sześć arkuszy wynosząca, a może i więcej, co
zależćć będzie od ilości rozdać się mogących egzem-
plarzy. Prenumeratę na Tomik II. po Złt. p. 2
przyymować będzie księgarnia *E. S. Mittler* w Po-
znaniu.



